ŚWIAT

Nr. 49. 7. XII. 1935



NA LODOWCU POLAKÓW W POBLIŻU SZCZYTU ACONCAGUY (z książki dr. Jodko-Narkiewicza „W WALCE O SZCZYTY ANDÓW")

WIELKIE PREMJUM GWIAZDKOWE
»ŚWIATA«
200 PRENUMERAT ULGOWYCH

Dwustu pierwszych prenumeratorów, którzy do dnia 20 grudnia wpłacą bezpośrednio do Administracji „Świata", Warszawa, Szpitalna 12 lub na nasze konto w P. K. O. Nr. 3755 złotych 40 (czterdzieści) — otrzymają za tę wyjątkową, ulgową cenę CAŁOROCZNĄ PRENUMERATĘ „ŚWIATA" na rok 1936. Ponadto pierwszych 100 wpłacających otrzyma jako dodatkowe premjum gwiazdkowe, dwa bilety do jednego z teatrów warszawskich do wykorzystania w ciągu I kwartału 1936 r.

200 prenumerat ulgowych

100 premji teatralnych
w postaci biletów na 2 osoby.

Trzecie premjum stanowić będzie
50 nagród niespodzianek
(książki i płyty muzyczne) dla 25 najdawniejszych naszych prenumeratorów oraz dla 25 nowych prenumeratorów, którzy pierwsi dokonają wpłaty złotych 40-u w oznaczonym terminie



Nagrodę Nobla w zakresie chemji otrzymała córka genjalnej uczonej Marji Skłodowskiej - Curie, pani Curie - Jolliot oraz p. Jolliot. Jest to jedyny wypadek na świecie, aby to zaszczytne wyróżnienie po raz trzeci przyznane było w tej samej rodzinie.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 49 7.XII.1935



Fot. Jan Ryś *Ś. p. Piotr Choynowski.*

JAN LORENTOWICZ

PIOTR CHOYNOWSKI

(WSPOMNIENIE)

Pożegnaliśmy nazawsze wybitnego pisarza i prawego człowieka, którego cały, niedługi żywot twórczy cechowały: skromność i dyskrecja. Powojenny rozgwar w literaturze, reklamowy i samochwalczy—ominął Choynowskiego szczęśliwie. Nie grzmiały fanfary przy narodzinach nawet tych jego utworów, które mu zjednywały coraz szersze koła wielbicieli i utrwalały chwałę jego rzetelnego talentu. Walczył od wielu lat z chorobą piersiową, a w krótkich przerwach — pisał w ciszy i skupieniu.

Nie pora dziś na szczegółową analizę poszczególnych utworów Choynowskiego. Znaczenie ich odsłoni się całkowicie dopiero w perspektywie czasu. Stojąc nad świeżą mogiłą pisarza, zwracamy się pamięcią ku jego dziełom reprezentacyjnym. Nasuwa się wniosek, że Choynowski był przedewszystkiem urodzonym nowelistą w najlepszym stylu. Za jego to sprawą nastąpiło w literaturze odrodzenie noweli jako odrębnego rodzaju twórczości . Arcydzieła nowelowe Sienkiewicza i Prusa wywołały swego czasu tak liczne i tak słabe naśladownictwa, że już na wiele lat przed wojną wydawcy nieufnie brali do ręki manuskrypt autorski z napisem: „nowele". Utrwalił się tą drogą przesąd, że „publiczność nie lubi rzeczy składanych". Tymczasem istota sprawy była inna: nie zmieniły się predylekcje „publiczności", ale osłabła wartość samych nowel, pod których nazwą chciano przemycać najbłahsze notatki życiowe, „drobne wypadki" z dzienników, rozszerzane do rozmiarów wielu stronic. Nowela jest może najtrudniejszym rodzajem opowieści: wymaga doskonałości rysunku, zwartej treści, naturalnego wdzięku i swobodnej narracji. O wartości jej decyduje nie temat i anegdota, ale specjalny gatunek talentu, zupełnie odmiennego, niż talent powieściopisarza.



Piotr Choynowski okazał nieocenione dary nowelisty: jędrną, obrazową, plastyczną polszczyznę, lekkość opowiadania, czarujący uśmiech ironisty, dobre poczucie stylizacji tematu, przystosowanej do środowiska i epoki. Zbiór nowel, zatytułowany: „O pięciu panach Sulerzyckich", najprzedniejsze dzieło Choynowskiego, wejdzie niewątpliwie na stałe do skarbca utworów literatury. Cztery nowele zbioru dotyczą epok dawnych, trzy — czasów dzisiejszych. W dziejach „pięciu panów Sulerzyckich" jesteśmy w atmosferze nierządu szlacheckiego w epoce saskiej, gdy brat - szlachcic nie odróżnia *fas* od *nefas*. Opowieść znakomicie utrzymana w tonie, jest mistrzowsko napisaną kartą obyczajową i znakomitem studjum charakterów. Nie mniej świetnie analizuje Choynowski psychologję szlachty z początku osiemnastego wieku, jak np. owego wojewodę, który świadomie skrzywdził na majątku sąsiada i staje wobec niezrozumiałego dla niego faktu, że mizerny księżyna, jego młody kapelan, odmawia mu rozgrzeszenia na spowiedzi. Obraz uroczystego najazdu wojewody na tegoż sąsiada, aby publicznie wyznać swoją winę, należy do pierwszorzędnych fragmentów narracyjnych. Z Polski dawnej przenosi się Choynowski z całą swobodą na posiedzenie członków Konwencji Narodowej, gdzie daje sztychowe portrety wybitnych działaczów oraz pyszną sylwetkę Buonapartego, ukazującego się w zakończeniu.

Drugim tematem, ku któremu, obok stylizacji historji zwracał się Choynowski najczęściej, były wspomnienia z czasów szkolnych, z epoki wczesnej młodości i epoki działań konspiracyjnych, które go zaprowadziły do służby w Legjonach („Młodość, miłość, awantura", „W młodych oczach" oraz szereg drobnych nowel). Postacie swych opowieści traktował Choynowski zawsze z humorem i specjalną ironją, które przypominają najlepsze tego rodzaju opowiadania Żeromskiego. W kilku rysach umiał stworzyć *charakter*, który wbijał się w pamięć czytelnika.

W takich skrótach portretowych, bardzo wyrazistych i plastycznych, celował Choynowski zawsze. Zdolność ta uwydatniła się najmocniej w jednym z najoryginalniejszych jego utworów a mianowicie w opo-

wiadaniu „Dom w śródmieściu". W zwięzłych, jakby filmowych rysach zobrazował tu autor żywot jednej monady miejskiej, to jest jednego domu w Warszawie. Sprawę uprościł sobie w ten sposób, że nie zagląda głęboko do dusz i serc, ale w doraźnych szkicach à la Daumier przesuwa przed czytelnikiem galerję ludzi przeciętnych, którzy mieszkają obok nas, których spotykamy na schodach i nie znamy ich najczęściej z nazwiska, a o których krąży po kamienicy żywa legenda, zaszczepiona przez kucharki i służące, potem kwitnąca bujnie w plotce wszystko wiedzących „paniuś". Figury, postawione przez Choynowskiego pośpiesznie, — w kilku zdaniach urywanych, w kilku gestach spowiadają się przed nami, nie z tego, coby może same chciały o sobie opowiadać, ile z tego, co warto, abyśmy o nich wiedzieli dla wyodrębnienia „typu". Dwadzieścia kilka takich *typów* tworzy jakby „Dekameron" jednej kamienicy warszawskiej z epoki najazdu bolszewickiego. Kwiat lokatorów stanowią obdarci kresowcy-uciekinierzy, a na resztę składają się: urzędnicy państwowi i prywatni płci obojga, nauczycielki, wątpliwi dziennikarze, paniusie z dziećmi, jeden „znakomity" literat i jakiś nieśmiały oficerzyna,— różne grupki i grupy, mówiące o niczem lub powtarzające potworne banalności codzienne. Administratorem domu jest major Makomaski, którego autor otoczył żywą sympatją i wyposażył w rasowe wady i zalety. Makomaski jest dzielnym żołnierzem, oddanym bezgranicznie ojczyźnie, ale — bez pozy i uroczystych namaszczeń. Pan major przypomina fantazją bohaterów „Trylogji", gdy walczy z Budiennym. Choynowski uśmiecha się przytem dobrotliwie i każe panu majorowi wypowiedzieć w momencie walki takie słowa: „Jeszcze się tu na Kmicica wykieruję, jak mi Bóg miły!...."

Choynowski był czystej krwi realistą. Patrzał zawsze na rzeczywistość polską pogodnie, z uśmiechem, z wiarą w jej przyszłość, z pobłażaniem. Nie dziwił się niczemu, nikogo nie potępiał, nie wtrącał się rozumowaniem własnem w cudze czyny i myśli. Opowiadał łatwo, ze swadą, ale bez nadmiernych rozwijań tematu. Niektóre jego powieści wywierają wrażenie zbioru nowel. W określeniach swych Choynowski jest prosty: nie szuka zawiłych metafor, bierze pierwsze lepsze porównanie, które się myśli nasunie i umie okrasić je uśmiechem delikatnej ironji. Plastyką figur, konstrukcją, wolną od wszelkiego przymusu, różnorodnością akcentów i barw w charakterystyce — stanął w rzędzie przednich nowelistów ostatniego pokolenia.

DWIE PIĘKNE KSIĄŻKI

Główna Księgarnia Wojskowa wydała ostatnio dwie książki, które zarówno przez swą treść, jak i niezwykle piękną szatę zewnętrzną, zasługują na specjalną uwagę. Mówimy tu o sprawozdaniu z wyprawy wysokogórskiej w Amerycе Południowej, pod tyt. *„W walce o szczyty Andów"*, d-ra K. Jodko - Narkiewicza, oraz o książce poświęconej sportowi morskiemu, pod tyt. *„Wśród wichrów i fal"*, gen. Marjusza Zaruskiego.

Książka d-ra Jodko - Narkiewicza opisuje trudy i walki z żywiołem górskim w Andach. Prawdziwie była to walka. Już samo podejście do szczytów, wymagające długiej podróży karawaną po bezdrożach i bezludziu, bez wytyczonych kierunków, było trudem nielada. Baza operacyjna wyprawy leżała w pasie podzwrotnikowym, potem przychodziła skalna pustynia ze straszliwemi skokami temperatury — w dzień 40° gorąca, w nocy mróz 40° — wreszcie szczyty, gdzie ginie wszelka zieleń, nie dociera do nich ani puma, ani król wysokiego lotu— kondor. Szczyty, gdzie każde poruszenie, z powodu braku tlenu, staje się męczarnią, gdzie choroba górska „puna" dręczy zahartowanych nawet tubylców, wywołując wyczerpanie i ostateczną apatję. Straszliwe wichury, mogące łatwo strącić w przepaść wspinającego się na szczyt, sypią piachem skalnym w oczy, wywołują osypywanie się piargów oraz lawiny kamienne lub śniegowe. Wreszcie burze śniegowe szalejące wśród niedostępnych szczytów — wszystko to daje dopiero obraz tej niebywałej trzymiesięcznej walki, jaką wyprawa wysokogórska stoczyła z przyrodą. Z pośród licznych zdobytych przez Polaków szczytów wymienimy tylko najważniejsze: Mercedario — 6770 m, Pico Negro — 5490 m, Alma Negro — 6120 m, la Messa — 6080 m, Cerro Romada — 6410 m, Aconcagua — 7015 m.

Książka Dr. K. Jodko - Narkiewicza jest wspaniałym reportażem pamiętnikarskim dorastającym w zupełności narracją i walorami literackiemi do wielkości dokonanego wyczynu. Czyta się ją jak najbardziej fascynującą i pełną napięcia powieść i ogląda z prawdziwem zadowoleniem estetycznem wspaniałe fotografje w opracowaniu atelier Girs - Barcz.

„W walce o szczyty Andów" jest dziwnie piękną książką, pełną uroku i świeżości prawdziwego czynu.

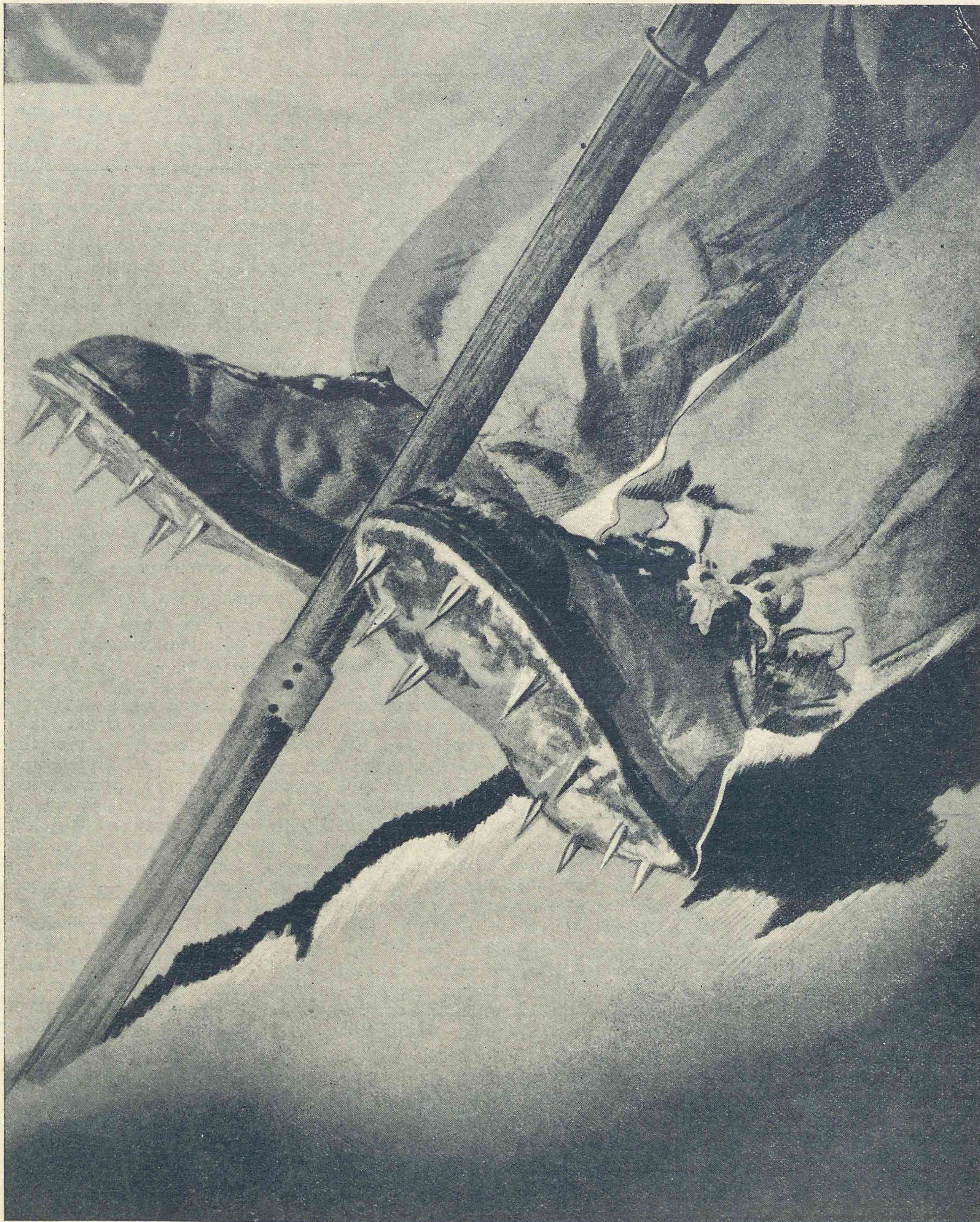
I dlatego może najbardziej należałoby książkę tę zalecać młodzieży. Stwierdza ona bowiem, że mimo zmechanizowania i zmaterjalizowania naszego życia, jest olbrzymie, wspaniałe i jakże zajmujące pole bezinteresownej i szlachetnej walki dla dobra nauki i ludzkości. Wszystkim, którym jest drogi ten ideał radzimy przeczytać książkę Dr. K. Jodko-Narkiewicza.

Wydana nietylko starannie, ale wprost wspaniale, książka ta ozdobiona jest licznemi całostronicowemi zdjęciami, z których dwa podajemy w dzisiejszym numerze „Świata". Jedno z nich znajdą czytelnicy na stronie tytułowej okładki, drugie—na stronie 5-ej „Świata". Oba dają pojęcie o doskonałości i wysokim poziomie artystycznym ilustracji tej książki.

„Wśród wichrów i fal", gen. M. Zaruskiego, mówi nam o morzu, jego urokach i niebezpieczeństwach.

„Wśród wichrów i fal" to wspomnienia znanego i zasłużonego jachtsmena polskiego z długich włóczęg po bezdrożach morskich na małych żaglowcach pod polską banderą.

Ostatni rozdział książki — poświęcony jest podróżom, jakie autor odbył na „Temidzie I" z uczniami Ośrodka Morskiego i harcerzami. Znakomita, ciekawa i nader artystycznie wydana książka gen. M. Zaruskiego powinna trafić do jaknajszerszych warstw naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem młodzieży, by zachęcić ją do życia na morzu, pełnego wprawdzie niebezpieczeństw, ale i dającego niezwykłe zadowolenie, hart i znajomość spraw morskich.



„R a k o b u t y" — jedna z licznych świetnych ilustracji, zdobiących książkę d-ra K. Jodko-Narkiewicza „W walce o szczyty Andów".

(do recenzji obok).

POŁÓW PEREŁ



Niektóre dziureczki w budżecie

Poco szukać dziur na całem? Dziur autentycznych jest i tak aż nadto. Jak podaje „I.K.C."—niektóre pozycje po stronie wydatków przedstawiają się w budżecie Państwa dość oryginalnie.

„A więc dowiadujemy się np., że lasy państwowe produkują stale nadmierną ilość podkładów, co następnie zmusza do sprzedawania ich prywatnym odbiorcom po cenach niższych od kosztów produkcji. W r. 1930 w dyrekcji łuckiej wyrobiono około 31.000 podkładów o długości już nieużywanej na kolejach państwowych (!!). Trzeba je było poprostu sprzedać ze stratą 9.000 zł."

*

„Budowa gmachu centralnej drukarni państwowej w Warszawie postanowiona była jeszcze w r. 1927. Wynikłe jednak nieporozumienia pomiędzy Ministerstwem Robót Publicznych a Prezydjum Rady ministrów doprowadziły do zaniechania budowy i do zmarnowania rozpoczętych robót ziemnych, których koszt wynosił 100.000 zł."

*

„Państwowe Zakłady Graficzne nabyły zagranicą dwie maszyny do druku wklęsłego, kosztem 40.000 dolarów. Maszyny te nie zostały nigdy uruchomione, nie nadawały się bowiem do druku banknotów".

*

„W salinie państwowej w Wieliczce wybudowano pralnię worków do soli. Pralnia ta, ukończona w lipcu 1930, stała nieczynna do połowy roku 1933, bowiem biuro sprzedaży soli otrzymywało worki, które nie nadawały się wogóle do prania".

*

„W r. 1933 w salinie państwowej w Bochni znaleziono nierozpakowane skrzynie z maszynami i urządzeniami, przeznaczonemi do uruchomienia elektrowni, wybudowanej w roku 1924. Maszyny te leżały w ciągu 10-ciu lat nierozpakowane".

Gnębić burżuja!

„Wzbogacajcie się"— mówi słusznie min. Matuszewski do polaków. „Bo kiedy naród jest bogaty — Państwo też jest bogate".

Ba, w tem sęk... że w Polsce bogacić się niełatwo. Czasem niełatwo jest nawet swą własność obronić... właśnie przed zachłannością... władz.

Toczy się w Warszawie od lat 10-ciu proces tego rodzaju. Właścicielom terenów na Czystem dawny Magistrat zabrał „na cele użyteczności publicznej" — dla tramwajów miejskich— „placyk"... 80 tysięcy metrów. Do dnia dzisiejszego, jak podaje „Kurjer Warszawski" w swem sprawozdaniu sądowem, właściciele nie otrzymali ani grosza zapłaty, ani narosłych procentów. Jeden z właścicieli wywłaszczonego objektu zdążył już umrzeć — W NĘDZY...

Sześć komisji ekspertów kolejno, przez lat dziesięć, szacowało owe tereny — i, nie mogąc się pogodzić co do ich wartości, umożliwiało Magistratowi odwlekanie sprawy.

Wreszcie definitywnie i na mocy obowiązującej ustawy ustaliła cenę terenu Komisja Wojewódzka, wojewoda ocenę zatwierdził—i nic nie stało na przeszkodzie, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Myślicie, że już?

Gdzietam. Magistrat zażądał ponownej ekspertyzy, uważając cenę ustaloną przez wojewodę za zbyt wygórowaną. I sprawa „toczy się" dalej.

Od początku sprawy, t. j. w ciągu lat dziesięciu, trzech właścicieli już zmarło, dwaj adwokaci poszli ich śladami. A ci, co jeszcze żyją, czekają na sprawiedliwość.

„Robotnik" o „zdobyczach socjalnych"

Socjalistyczny „Robotnik", którego trudno posądzić o chęć zabrania klasie pracującej dogodnych dla niej prerogatyw, pisze o ubezpieczeniach socjalnych w Polsce: „Ubezpieczenia w obecnej formie nie mają dla klasy robotniczej *żadnej prawie wartości — i albo trzeba mieć odwagę je znieść, albo zreorganizować je* i oddać ich kierownictwo w ręce samych ubezpieczonych, tak, by *mogły one spełniać swą funkcję i zadanie niesienia pomocy prawdziwej ubezpieczonym*".

Dotychczas pisała tak tylko prasa „burżuazyjna" — i pomawiana była o stronniczość, o chęć odebrania robotnikom cennej zdobyczy. Dziś sami robotnicy widzą, jak dalece cenna jest ta „zdobycz" w swojej obecnej formie...

Wieczne prowizorjum

„C'est le provisoire qui dure" — mówią genjalnie francuzi.

Rzeczywiście— każde prowizorjum ma w sobie jakąś tajemniczą siłę „wiecznotrwania". Nietylko we Francji, zresztą. U nas także.

Jest w centrum Warszawy ulica. Nienajpodlejsza. Dystyngowana, zamieszkała przez „przyzwoitych ludzi". Nazywa się Hortensja. Jest na tej ulicy szkoła im. Wojciecha Górskiego, do której chodzi kilkuset, a może tysiąc chłopców. I są na tej ulicy trotuary — wołające o pomstę do nieba.

Było tak: kiedyś na tych chodnikach posadzono drzewka. Niepodlewane — co miały robić? Uschły. Więc drzewka słusznie usunięto. Ale zostały po nich doły, ziemne zasadzki w kamiennych chodnikach. Kilkanaście takich zasadzek zdobi licho wie dla kogo chodniki ulicy Hortensji. I to nie na skraju, broń Boże: na samym środku. Żeby każdy przechodzień mógł w nie z całą pewnością wpaść o zmroku, kiedy ulica nie grzeszy nadmiarem oświetlenia. I żeby chłopcy, wychodząc ze szkoły, mieli „naturalne nierówności" terenu zmarzniętego i ślizkiego, na którym można nogi połamać.

Ten stan rzeczy trwa od kilku lat. Ani drzewek nie zasadzą, ani tych ohydnych dziur ziemnych flizami betonowemi nie przykryją.

Pocieszamy się, że to drobiazg... Jedno z wielu wiecznotrwałych prowizorjów.

Dlaczego?

Czytamy w prasie rządowej, że bezrobotni, otrzymujący pomoc żywnościową z Funduszu Pracy, winni są Funduszowi *80 tysięcy dniówek nieodpracowanych.*

Czytamy — i łapiemy się za głowę.

Słusznie wprowadzono przy pomocy bezrobotnym zasadę „nic zadarmo". Jałmużna upokarza. Wynagrodzenie czy żywność, *dane wzamian za pracę* —podnoszą bezrobotnego na duchu, nie wyrabiają w nim zawodowego lenistwa, nie spychają go słowem na dno ludzkiego upadku.

Więc zasada słuszna.

Dlaczego jej nie zastosowano w całości?

Czyżby Polska już nie miała dróg do sypania, kanałów do kopania, baraków do stawiania, ani wogóle żadnych już potrzeb inwestycyjnych?

80 tysięcy dniówek... nie odpracowanych.

W kraju, w którym *brak dosłownie wszystkiego.*

Ręce opadają.

Najmilsi monopoliści

Obiecano ludności zniżkę kosztów utrzymania, wzamian za nałożone nowe podatki. W pierwszej linji ulec muszą zniżce ceny elektryczności, gazu, telefonów. Podobno nie idzie to łatwo.

Zarząd przymusowy elektrowni warszawskiej już ogłosił, że cena prądu *nie będzie zniżona.* Zato ta sama elektrownia traktuje odbiorców w sposób, urągający elementarnym zasadom handlowym. „Kurjer Poranny" zamieścił przed paru dniami skargę pewnego czytelnika, opisującego, jakie to szykany i nieuprzejmości trzeba wytrzymać, aby... zostać zwykłym drogo płacącym za prąd klijentem elektrowni warszawskiej.

Czytelnik ów powrócił do kraju po paru latach nieobecności i nadziwić się nie może — ba, wraca z Europy. Tam na zapotrzebowanie na instalację elektrownia do swego klijenta przysyła fachowego pracownika, który na miejscu bada życzenia klijenta i oblicza kosztorys. Tak się robi w Europie.

U nas klijentowi — *każe się przychodzić do elektrowni! Osobiście.* I nie klijent dyktuje, czego chce, ale przedsiębiorstwo najpierw urządza istne śledztwo na temat swego przyszłego klijenta. Wszelkie — nader liczne — formularze, któremi obarczono klijenta, kazano mu wypełnić, zamiast żeby to zrobił płatny urzędnik elektrowni.

A oto co o gazowni — drugim „monopoliście" stolicy —pisze poseł Stpiczyński:

„Proszę np. pofatygować się do gazowni warszawskiej i powiedzieć: panowie, chcę u was kupować gaz, proszę mi wstawić licznik. Ajakże. Jeszcze czego. Gazu mu się zachciewa. A podanie, a deklaracje, a *zaświadczenie od policji.* Tak, od policji. Policja państwowa musi pracować, by gazownia raczyła zwiększyć swe obroty. Bo to przecież nie handel zwykły. To misja społeczna i łaska, no bo gazownia jest przedsiębiorstwem monopolistycznem. Nie lepiej jest zresztą, jeśli ktoś chce kupić prąd elektryczny lub usługi sieci telefonicznej".

O telefonach opowiemy następnym razem historję ucieszną i niepodobną do prawdy — acz prawdziwą.

Skąd deficyty państwowe?

Nietylko z dygnitarskich aut, ze zbytkownych gmachów, z napęczniałych funduszów reprezentacyjnych i tajemniczych „funduszów dyspozycyjnych". Ale także z tych setek tysięcy „młodych emerytów", których prawem kaduka usunięto ze służby *w pełni sił* i obciążono nimi budżet Państwa — czyli każdego z nas, podatników.

Ilu ich jest? Cała Polska ciekawa jest tej liczby.

Co robią? Rozmaicie. Jedni znaleźli sobie posady — i żyją po pańsku: na pierwszego Ojczyzna wypłaca im emeryturę, a nowa posada daje zwykle drugie tyle, albo i więcej.



Inni — nie mieli szczęścia. Tylko z emerytury żyją. Więc umierają *z nudów.* Godzinami wysiadują nad pół czarnej po kawiarniach. Zaczytują się w odcinkach kryminalnych romansów. Rozwiązują krzyżówki. Hodują króliki.

Nieliczni — żeby z nudów nie oszaleć — *poprostu się kształcą.* Człowiek nie ma lat 40-tu, jest w pełni władz umysłowych. Kończy więc jakiś fakultet — i zaczyna nowe życie. W nowym zawodzie.

Jak podaje miesięcznik „Urzędnik Polski na Śląsku" — liczba polskich emerytów — (nie licząc emerytów z epoki państw zaborczych) wynosi przeszło 150 tysięcy.

Większość tych ludzi wcale nie poszła „w odstawkę" z powodu przekroczonej granicy wieku. I tu są poważne oszczędności do zrobienia w budżecie Państwa: wziąć ich wszystkich z powrotem do roboty. Nie utrzymywać tej falangi *sztucznych emerytów,* których płaci coraz bardziej wynędzniały płatnik podatków.

Spieszyć się — czy żyć?

Ugo Ojetti, najznakomitszy dziś włoski krytyk sztuki, tak określa swój stosunek do manji szybkości, jaką owładnięte jest nasze pokolenie:

„Nie jestem „szybkościowcem", jeśli wolno użyć takiego niezbędnego dzisiaj neologizmu. Jestem człowiekiem rozsądnym, a nawet spokojnym, który z radością podróżuje po ziemi, w powietrzu i na wodzie z szybkością jak największą, kiedy tylko nadarza się okazja i kiedy mu to jest wygodne. A wygodę swoją mierzę podczas takiej szybkiej podróży — możliwością myślenia o czem innem, nie tylko o tej nowej i zdumiewającej szybkości mojej jazdy".

Ujęcie stosunku człowieka głęboko kulturalnego do wynalazków technicznych odznacza się w tem zdaniu Ojettiego nietylko maksymalną prostotą, ale i iście łacińskim darem określania równowagi zjawisk. *Jeżeli szybka jazda przeszkadza mi myśleć — staje się celem sama w sobie.* Jeżeli technika zabija myśl — staje się nie rozszerzeniem horyzontów duchowych ludzkości, ale ich zacieśnieniem.

O tem się często zapomina.

Uparty nurek.

Z PRACOWNI STEFANA NORBLINA

wyszło ostatnio kilka portretów Marszałka Piłsudskiego, przeznaczonych dla instytucji państwowych i do prywatnych zbiorów. Portrety te odznaczają się odrębnem ujęciem postaci Marszałka — nie mają bowiem w sobie żadnej oficjalnej sztywności i stawiają sobie za cel scharakteryzowanie Marszałka z podkreśleniem Jego cech indywidualnych, humoru, ironji, czy dobrotliwego uśmiechu.



S. Norblin Portret Marszałka Piłsudskiego
(własność pułk. A. Rudnickiego)



S. Norblin Portret Marszałka Piłsudskiego

Polska widziana z siodełka roweru

Wrażenia anglika z objazdu Polski

Znajomość spraw polskich w Europie Zachodniej poczyniła w ostatnich latach znaczne postępy, Polska jednak pozostaje jeszcze krajem mało znanym i prawie że jeszcze egzotycznym. Jeżeli mierzyć ten stan uświadomienia opinji europejskiej rodzajem produkcji literackiej naszych spraw dotyczącej, jesteśmy w okresie publikacyj ogólno - informacyjnych, o charakterze przeważnie encyklopedycznym oraz opisów podróży do Polski. Taki właśnie opis podróży po Polsce, pod tytułem „Pedalling Poland", pióra Bernarda Newmana ukazał się w dniach ostatnich na półkach księgarskich. Autor tej pracy, nie pierwszej wychodzącej z pod jego pióra (przed paru laty zaledwie ukazał się jego opis podróży po krajach naddunajskich) opisuje wycieczkę do Polski, którą objechał całą dookoła na rowerze. Napisana bardzo żywo, zawierająca szereg trafnych obserwacyj, przyjemnie zabarwiona specyficznie angielskim humorem stanowi ona nader przyjemną lekturę i znajdzie prawdopodobnie z tego powodu licznych czytelników.

Na tem właściwie możnaby zakończyć notatkę o książce p. Newmana. Warto jednak poświęcić jej nieco więcej uwagi, a to z tego względu, że dostarcza ona doskonałego materjału do studjów nad kwestją, jak wygląda nasz kraj w oczach cudzoziemców.

Zaznaczmy odrazu, że P. Newman przygląda się nam z wysokości swego siodełka bez żadnych uprzedzeń. Przyznaje szczerze, że na sztuce nie zna się absolutnie, co go zwalnia od obowiązku pisania przewodnika po naszych zabytkach, interesują go zaś rzeczy najważniejsze: kraj i ludzie.

Otóż, jako kraj, Polska wrażenia nie sprawia. Jest parę ładnych fragmentów— Kaszubska Szwajcarja, Puszcza Białowieska, raczej ciekawe niż ładne Polesie i przedewszystkiem beznadziejna, nudna, monotonna równina polska. Jedynym fragmentem godnym uwagi są góry, malownicze, inne, a przez to pociągające. Miasta? Te kilka większych dają materjał do kilku uwag, potrzebnej ilości konwencjonalnych komplementów, a Kraków nawet do słów szczerego zachwytu. Pozatem jednak znowuż beznadziejność: mniejsze miasta bez charakteru, podobne do siebie, budownictwo nieciekawe, czerwona cegła na zachodzie, dalej coraz mniejsza ilość domów murowanych, nadmiar budowli drewnianych, a wreszcie, w całym kraju, jakże daleko odbiegające od standart'ów europejskich miljony chałup chłopskich. Uroku naszego krajobrazu nie podnosi specjalnie pogoda. Autor miał nieszczęście trafić na szereg dni deszczowych, które zupełnie popsuły mu n.p. pobyt w Zakopanem.—Zwiedzając pod ulewnym deszczem Zakopane, mówi autor, miałem sposobność usłyszeć jeden z najlepszych w życiu dowcipów. Na zapytanie bowiem co do przeznaczenia interesujących go budynków usłyszał w odpowiedzi, że jest-to suszarnia tektury. Jakgdyby coś wogóle mogło kiedyś wyschnąć w Zakopanem!

Pozatem sprawa dróg.... Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie mogły zrobić polskie drogi na angliku jadącym rowerem. Niema rozdziału, w którym nie byłoby na ten temat kilku przyjemnych obserwacyj. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, odnosi się on do tej sprawy z dużą wyrozumiałością, tłomacząc sobie stan naszych dróg długoletniem zaniedbaniem zaborców oraz wyjątkową naszą dzisiejszą biedą. Na karb tych przyczyn nie może tylko zrzucić stanu dróg podwarszawskich, w tym jednak wypadku na szczęście nie mówi, co naprawdę myśli. Na marginesie mała uwaga: czy przygodni informatorzy, których miał setki P. Newman, nie przesadzają zbytnio w tłomaczeniu stanu dróg łatwym argumentem wyjątkowej nędzy? Argument taki bowiem może być z gatunku kijów o dwu końcach.

Lud? Poza łowiczanami, a zwłaszcza hucułami, w których autor jest rozkochany, nie sprawia większego wrażenia. Ogólne wrażenie jest raczej miłe, gościnność i serdeczność chwilami nawet krępują, przygodna jednak obserwacja pozostawia wrażenia indolencji, braku inicjatywy, pewnej ckliwości i brudu. Jakże charakterystyczne, dwukrotnie przez autora podkreślane, jest bierne zachowanie tłumu w razie wypadku. Dziwnem zresztą byłoby, gdyby nasz niezwykły talent do tworzenia zbiegowiska i bezczynnego gapienia się w razie najmniejszego wypadku uszedł uwagi tak spostrzegawczego obserwatora. Te cechy charakteru narodowego dziwnie muszą się w umyśle autora kojarzyć z bogactwem naturalnem kraju, którego wielkość ocenił naocznie, którego zaś zasoby demograficzne i przyrodzone z pewnem zdumieniem spostrzega poprzez karty Małego Rocznika Statystycznego.

W paru wypadkach tylko sprawiają uwagi autora wrażenie nie tyle subjektywne, co raczej niesprawiedliwe: gdy mówi o kolejach, wydając sąd ogólny o ich powolności na podstawie przejazdu jakimś miejscowym pociągiem do Łowicza, oraz gdy mówi, i to w paru miejscach, o armji polskiej. W tym ostatnim wypadku przebija w jego nieco ironicznych uwagach o otaczaniu aureolą legendy mało znaczących wyczynów młodej armji polskiej pogląd kombatanta z Wielkiej Wojny, dla którego jedyną wojną prawdziwą były walka pozycyjna, nasze zaś zmagania z armją czerwoną, połączone z forsownemi marszami, nie wyglądają poważnie.

Myliłby się jednak czytelnik, przypuszczając, na podstawie tych moich uwag, że wrażenia P. Newmana są tylko ujemne. Jest to tylko wrażenie ogólne, odbicie pierwszych reakcyj człowieka Zachodu w zetknięciu z naszą polską rzeczywistością, która tak często odbiega od pojęć i wymagań tego Zachodu. Po zgłębieniu szczegółów, znajdujemy cały szereg sądów dodatnich, a nawet pochlebnych, na temat grzeczności polaków, kultury polskiej, wysokiej inteligencji kobiet, dobroci i taniości utrzymania, uprzejmości policji i t. p. Pierwsze jednak wrażenie pozostaje: nędza i prymityw.

*

Na zakończenie słów kilka o kilku specjalnych rozdziałach książki, traktujących o problematach politycznych. A problematów tych w Polsce nie brak: sprawa korytarza na północnym zachodzie, Śląska na południowym zachodzie, ukraińska na południowym wschodzie i wileńska na północnym wschodzie, w środku zaś zagadnienie żydowskie. Trzeba autorowi oddać sprawiedliwość: we wszystkich tych sprawach stara się on zrozumieć stanowisko Polski, w większości wypadków przyznaje temu stanowisku rację. Samo jednak ujęcie tych faktów daje przykry nieco obraz Polski dręczonej ze wszystkich stron przez kwestje polityczne istotne a nierozwiązalne. Przykre wrażenie, jakie odnosi pod wpływem tych uwag czytelnik, wynika jednak nie z tego, że sformułowanie sądów następuje po bardzo pobieżnem zaznajomieniu się z tematem, jak to zwykli czynić podróżnicy, lecz raczej z tego, że cudzoziemiec przybywający do nas jest przekonany o istnieniu tych zagadnień i tylko z większą lub mniejszą bezstronnością stara się zebrać na miejscu nieco faktów i wrażeń, któreby mogły jego zgóry zwykle ustalone tezy ubrać.

Na tle tych kilku uwag powstaje pytanie, czy naprawdę możemy mówić o przyciągnięciu do Polski ruchu turystycznego z zagranicy? Opinji bowiem terenu interesującego nie zyskuje się oprowadzając turystę za rękę po wytkniętych szlakach. Trzeba mu uprzystępnić kraj cały, ale aby to zrobić trzeba chyba pracy całych pokoleń.

m. r.

---

*) Pedalling Poland, by Bernard Newman, London 1935, Herbert Jenkins Ltd.

Z ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO STOLICY



Tow. Zachęty do Sztuk Pięknych obchodziło uroczyście 75-tą rocznicę istnienia. Na jubileusz zasłużonej instytucji przybyli Pan Prezydent Rzeczpospolitej prof. Ign. Mościcki z Małżonką, ks. Kardynał Kakowski, min. Chyliński, liczni przedstawiciele rządu z premjerem M. Kościałkowskim na czele, świat artystyczny i niezwykle liczne zastępy publiczności.



Jury jubileuszowego Salonu Zachęty. Pośrodku zasłużony prezes Zachęty p. St. Brzeziński i art. rzeźbiarz Ant. Madeyski



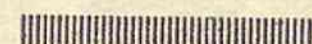
Z WYSTAWY W I. P. S.-ie



Karol Larisch. „Nad potokiem".

Wśród ostatnich wystaw w I. P. S. wyróżniła się wystawa pośmiertna obrazów młodego malarza, Karola Larisch'a, który tragicznie zginął przed kilku tygodniami w wypadku motocyklowym.





NAGRODA STOLICY

w dziale plastyki przyznana została w roku 1935 młodemu rzeźbiarzowi A. Karnemu, którego dzieło zamieszczamy obok



PARYŻ WE MGLE

(Koresp. wł. „Świata").

Kiedy promienie letniego słońca jak radosna kaskada spadną na ogród Luksemburski; kiedy wszystkiemi barwami zagrają na zwałach peonij, dalij, tulipanów, róż; kiedy zanurzą się w basenie, gdzie żagielki stateczków igrają na wodzie wśród nagich dziecinnych ramionek, kolanek i wielobarwnych kokardek rezolutnych Germaines, pewnych siebie George'ów czy Piérre'ów; kiedy rozłożą się niedbale na miedzianej kopule senatu — *piękny jest Paryż!*

Kiedy strumienie deszczu omyją, wylśnią asfalty Avenue de l'Opera, a wielkie krople z powagą padają na lśniące od latarń, od wystaw sklepowych, od reflektorów aut tafle betonu i asfaltu, kiedy łamią się światła na czystej, wypolerowanej przez deszcz powierzchni ulic, kiedy czarne, luksusowe auta, gibkie jak gondole weneckie, suną milczące, dostojne, rasowe — a iskry świateł wystrzelają z pod kół, ze ścian, dachów — *piękny jest Paryż!*

Kiedy melancholijne jesienne słońce spowite mgłą unosi się nad wspaniałą perspektywą Tuilleries i ze swej stratosfery spogląda na przychwycone szronem i otulone watą mgły — trawniki, posągi, resztki chryzantem, pomnik Gambetty i wspaniałe wnętrze Luwru — *piękny jest Paryż!*

Piękny jest, gdy tłum tańczy i bawi się na ulicach, gdy manifestują i kolumnami ciągną związki przez Champs des Elysées do Łuku Tryumfalnego, piękny, gdy się bawi, buntuje, grozi rewolucją lub skupia w patrjotyzmie.



Min. Herriot

(karykatura Vertesa)



Premjer Laval

(karykatura Vertesa)

Dziś mgła spowiła Ville Lumière. Stłumione są kroki przechodniów, watą opatulone głosy, watą przysłonięty horyzont — w tej mgle kąpią się nietylko gmachy, auta, skwery, ogrody, ulice — w tej mgle z pewnym niepokojem precyzyjna, logiczna myśl francuska szuka wyjścia, szuka lepszej, mniej niepewnej doli.

Bo piękny, ruchliwy, swawolny, pracujący, żartobliwy Paryż — nie lubi żyć z dnia na dzień; troska o jutro, o przyszłość, o regularność, stabilizację stosunków jest szóstym zmysłem każdego Francuza. Zarówno tego, co czytając światowe „Figaro" macza swego croissant'a w czekoladzie porannej, jak i tego, co na ławce ogrodowej zaczyna swój „suchy obiad".

A dziś troska i zaciekawienie koncentrują się przy słowie: wybory. Paryż — niezależnie od chwilowego zwycięstwa Lavala w parlamencie — musi dokonać wyboru.

Wyboru między Lavalem, Herriotem czy Daladièr'em. Mogą być za niemi inne nazwiska — mogą w przyszłej personifikacji nowych gabinetów być inne osoby — *ale ci trzej wyrażają trzy systemy rządzenia, trzy metody urządzenia Francji.* Wybrać między ładem, porządkiem, burżuazyjną solidnością Lavala — między jego ideą solidarności Zachodu Europy a skrajnym radykalizmem, tępą, zaciekłą, doktrynerską, frakcyjną myślą Daladier'a, tego samego, co doprowadził do wybuchu 6-go stycznia, który dziś jest filarem „Front Commun" (Wspólnego Frontu) — frontu obejmującego komunistów kierowanych z Moskwy aż po radykałów-socjalnych. Wybrać między nimi musi Francja, musi Paryż! Na pół drogi stoi Herriot. Herriot nie poddający się komunistom we Francji, ale widzący w ścisłym sojuszu z Sowietami naj-

bardziej wskazany sojusz polityczny. Herriot radykał patosu, niewolnik haseł humanitarnych, Herriot lewicowiec, wyposażony w rozsądek... sprawowanej już władzy. Rozsądek obarczony — poczuciem odpowiedzialności.

Mogą z systemu Lavala wyłonić się inni umiarkowani, mogą być Tardieu, Flandin, Mandel — różni zupełnie między sobą indywidualnie, ale tego samego ładu społecznego wyznawcy. Mogą zamiast Daladier czy Herriota być Paul-Boncour, Chautemps, Pierre Cot, Steeg, Malvy, Bonnet, Paganon czy inni — będą to odcienie, inne sposoby wykonania — system myślenia jednak zbliżony.

Wybory między systemem, między jego personifikacją dręczą dziś każdego „citoyen'a moyen" przy rozwijaniu porannego dziennika.

Od wyboru systemu i premjera do przyszłych wyborów generalnych, do „konsultacji ludu" krok tylko jeden. A te wybory ukazują się na horyzoncie, choć mgła przesłania wszelkie przewidywania na temat ich wyniku. Są tygodnie, gdy zdaje się, że prawica zdobywa punkty; są inne, gdy zwrot na lewo wydaje się nieunikniony.

Narazie wyborów dokonała „Akademja" — w ogniu walki w ostatniej niemal chwili wyskoczyła i zwyciężyła kandydatura Duhamela. Za parę dni Akademja Goncourtów dokona wyboru swego laureata. „Prix Femina" w literaturze i szereg innych „prix" literackich ma być też lada dzień przysądzonych.

Wybór Jerzego Duhamel'a do Akademji, to nietylko wybór świetnego stylisty i poety — człowieka, co kult dla piękna języka francuskiego postawił na wyżynach, to również wybór przedstawiciela tej ruchliwej, płodnej, różnorodnej, choć nie rozstrzelonej produktywności umysłu francuskiego. Docent nauk przyrodniczych ze specjalnem uwzględnieniem chemji, fizjologji i histologji, doktór medycyny posiadający na swem koncie przeszło 1500 operacyj, autor około 40-tu książek z zakresu: powieści, opowieści, podróży, essayów literackich, kronik, krytyk teatralnych, poezji — kierownik wydawnictwa „Le Mercure de France", utalentowany flecista — wzorowy ojciec trojga dzieci — oto człowiek, który zadebiutował książką p. t. „Jest tyle rzeczy do zrobienia".

Zdaje się, że wielu dokonał. A wyborem swym Akademja dokonała czynu przysparzającego jej w Paryżu i Francji popularności i uznania. Głównym „wyborcą" Duhamel'a był François Mauriac — który parę miesięcy temu forsował Paul Claudel'a, ponosząc porażkę. Podtrzymywali Mauriàc'a energicznie Abel Hermant, Henri-Robert i Jerzy Lecompte. W obozie przeciwnym byli „wyborcy" Ferdynanda Gregh'a — Chaumeix i Chevrillon. Walka nie była łatwa — głosowano czterokrotnie — Duhamel zyskiwał w każdem głosowaniu. Wreszcie zwyciężył. Po wyborach jeden z akademików prawicowych odezwał się do Mauriàc'a: „miał pan dziś więcej szczęścia, niż z Claudelem!" „Bo tym razem nie liczyłem na pańskich przyjaciół" — odpalił autor „Gniazda żmij". Sam Duhamel „w obliczu aktu Akademji" zachował najwyższy spokój i równowagę. Na tydzień przed wyborami wyjechał na szereg odczytów na prowincję. W dniu wyborów miał swą konferencję w Bordeaux. Natychmiast po dokonanym wyborze telefonowano do jego hotelu z Paryża. Nie zastano go — Duhamel wyszedł na swoją konferencję.

— Nie zmienił nic w trybie swego życia — oświadczyła pani Duhamel przyjaciołom, którzy przybyli doń z gratulacjami.

Akademja Goncourtów wybory swe przygotowuje starannie, ustalone już jest nawet menu śniadania na dzień 4 grudnia — dzień przyznania nagrody. Będzie więc kawior, łosoś na zimno, „gigot" baranie, kapłony z sałatą i jarząbki z bechamelem. Menu jest — tylko laureat jeszcze nie ustalony. Wśród największych „faworytów" notują: Maksymiljana Van der Meersch'a, Józefa Peyré, Luc Dietricha i Ludwika Guilloux. Mniej trudnym od tych wyborów politycznych, akademickich i literackich jest obecnie wybór teatru. Wybór spędzania wieczoru etatralnego w Paryżu. Ale o tem już następnym razem.

Vieux Parigot.



Daladier ex-premjer — kandydat „Frontu ludowego"

„Candide" w dniu walki z rządem Lavala umieścił tę karykaturę, gdzie byli ministrowie rządu Daladier'a: Cot, Pristler, Chautemps, Frot i ich duchowy teoretyk Blum jak kruki krążą nad parlamentem.



KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Ona sobie wyobrażała, że tego szczęśliwego dnia będzie pogoda! Że wszyscy będą się jej szczęściem cieszyć! Że nastrój w domu będzie nadzwyczajny! Tymczasem nad wieczorem zaczął padać deszcz ze śniegiem, a mama, rozmawiając przez telefon ze stryjem, nawet zapomniała mu powiedzieć o triumfie Marty!

Z tego wszystkiego wynikało, że dla mamy „przebić się przez życie" oznaczało zupełnie co innego, niż dla jej córki. Poprostu chodziło jej o jakiś prymitywny, czysto zwierzęcy, życiowy sens, podczas kiedy dla Marty „przebić się przez życie" określało urzeczywistnienie idei twórczych. Ach, Boże, Marta czuje, że wpada w patos myślowy!

Jeden tatuś cieszy się! Bierze Martę w ramiona, sadza ją sobie na kolanach i tak z nią siedzi długo, bez słowa. Jest rad... Jest bardzo rad!... Więc chociaż Marcie niewygodnie jest siedzieć na jego kolanach i trzymać głowę na jego marynarce, przesiąkniętej zapachem lekarstw — Marta nie porusza się i nawet przytula twarz mocniej do ojcowskiego ramienia, czując, że tylko w ten sposób może mu wyrazić swą wdzięczność za jego kochaną radość, za pieniądze, wysyłane zagranicę i za stałą wiarę w jej talent!

**
*

Na drugi dzień z samego rana wpada Emil, żądając od Marty kilku makiet, które projektowała w Paryżu. Leci właśnie do kabaretu „Folie de Varsovie" i z gołemi łapami nie może wspólniczki zareklamować.

Trzeba będzie otworzyć kufer, stojący w korytarzu.

Naturalnie kluczyk się gdzieś zapodział, a kiedy się znalazł, to zamek się zaciął. A kiedy wreszcie wieko można było podnieść, przyszła mama i miała dużo do powiedzenia na temat przyjmowania gości w korytarzu kuchennym, wśród tego niesłychanego śmietnika, który zatamowuje przejście do kuchni.

Szkicowniki, zawinięte w rolkę płótna, akwaforty, sangwiną rysowane głowy, jakieś projekty (z adnotacją, pisaną czerwoną farbą), barokowe ambony, wnętrza, zamki z bajki, stajnie, deszcz gwiazd — wszystko to razem zasłało podłogę korytarza, przechodząc z rąk Marty do rąk Emila. Żarówka 25-świecowa okazała się za słabą, więc trzeba było z tem wszystkiem przenieść się do jadalni i tam zakurzyć stół, przykryty oślepiająco białą ceratą i otomanę (przykrytą ułożonemi symetrycznie poduszkami).

Emil wybrał to i owo. Chodziło mu o reklamowy efekt fantastycznych pomysłów, które mogłyby zaciekawić, jako najnowsze prądy zagraniczne! (O Paryżu nie pozwolił ani słówka pisnąć Marcie, krzycząc, że stolica nadsekwańska ma dekoracje „na szmelc", stojące bardzo nisko na giełdzie teatralnej). Emil „wywąchał już pismo nosem — cały nastrój kabaretu. Oto „Folie de Varsowie" w połowie sezonu zrzucało starą skórę, zmieniało zarząd, kierunek literacki, zespół artystyczny, reorganizując wszystko z wielkim hukiem i gwałtem. Emil więc wyczuwał, że należało operować kontrastami, aby osiągnąć pożądany rezultat. Zamiast skrajnego realizmu byłego dekoratora należało bić w efekt fantazji, powołując się na nowe prądy Londynu i Berlina.

Marta w Londynie była zaledwie dwa tygodnie, a w Berlinie nie zatrzymywała się wcale, ale to nie przeszkadza, on nie pozwala jej o tem mówić! Niech nie będzie głupia! On przecież też zna to wszystko bardzo powierzchownie, a jednak ma zamiar na tem wszystkiem „wyjechać" jako na swoim „cheval de bataille".

Emil ma długi i nóż na gardle. Emil wcale nie ma zamiaru robić głupstw, jak dawne pokolenie Kurzawy, Podkowińskiego, Bałuckiego, które z rozpaczy tłukło rzeźby, rozdzierało płótna i strzelało do siebie.

Wreszcie wychodzi.

Marta zbiera swoje manatki i każe zamieść służącej jadalny pokój.

Jest zimno, pomimo że rozpalonych kafli pieca dotknąć ręką nie można.

Jest przykro, pomimo że Emil zabrał trzy makiety, obiecując bardzo ciekawą artystycznie pracę...

MĘŻCZYŹNI

1. PAN BRUNO SZENKER

W ową środę zdjęto zaraz po skończeniu wizyt pokrowce z mebli i chodniki z posadzek. Wyprawowe fotele pani Tarasowiczowej rozjarzyły się purpurą starego brokatu i bogactwem rzeźbionego orzecha. Zwinięty pod fortepianem (na codzień) dywan rozpostarto na posadzce i wkręcono trzy mocne żarówki do żyrandola i jedną stuwatówkę do bocznej lampy z abażurem. Pokojówka solidny fartuch perkalowy zastąpiła frywolną szmatką koronkową, a taca srebrna, wisząca od lat na ścianie jadalnego pokoju, dostąpiła zaszczytu dźwigania filiżanek od czarnej kawy, pękatej butelki prawdziwego francuskiego likieru i patery z drobnemi ciasteczkami.

Te zabiegi kosztowały sporo zachodu i jeszcze więcej pieniędzy! Pani Tarasowiczowa pokonać umiała swoją oszczędność, spodziewając się wiele po wizycie tego Szenkera.

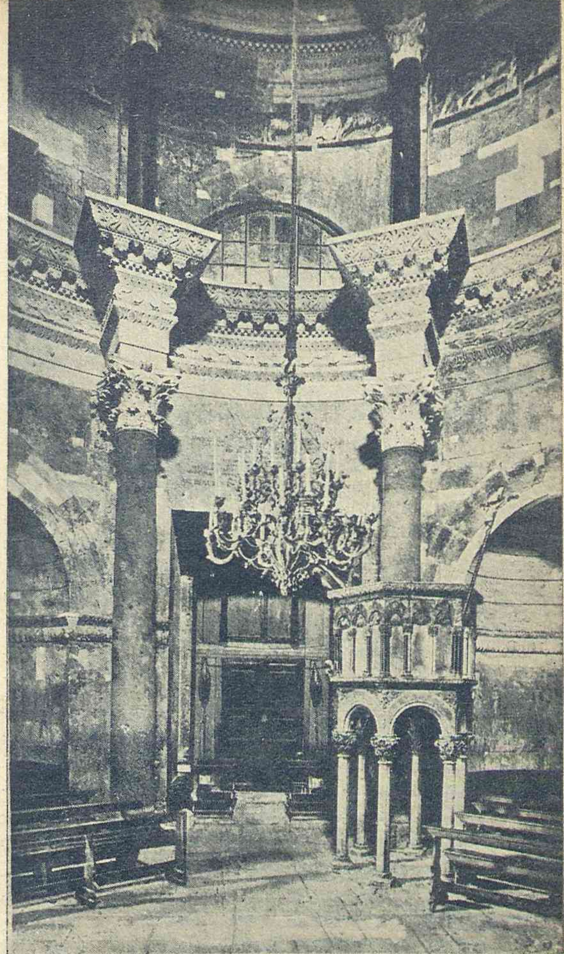
Szenker przyszedł 20 minut po szóstej, w zwykłym marynarkowym garniturze i jaskrawym krawacie. Pani Tarasowiczowa odrazu została tą nonszalancją pierwszej wizyty niemile uderzona. Po chwili nastąpiły inne rozczarowania. Szenker zupełnie tak się zachowywał, jakby był u starych dobrych znajomych. Swą tęgą postać ulokował w najwygodniejszym fotelu! Rękę pulchną, piegowatą i owłosioną prawie zaraz wyciągnął po grube cygaro! Poza tem mówił niewiele i nawet nie fatygował się, aby zamaskować znudzenie, rozlane na tłustych, dobrze wygolonych policzkach.

Marty nie było. Spóźniała się.

(c. d. n.).

INŻ. K. JACKOWSKI

Ambicje muzealne Jugosławji



Katedra w Splicie

Muzea dla współczesnych państw są szczególnie wobec obcych przybyszów jakby „biletami wizytowemi". Człowiek kulturalny, zwiedziwszy taką placówkę, odrazu się orjentuje, z kim ma do czynienia, jaki dorobek wniósł dany kraj do ogólnej skarbnicy sztuki czy wiedzy. Pozatem placówki te świadczą o stosunku obecnego pokolenia do pracy i wysiłków tych, którzy już odeszli, którzy kochali kraj po swojemu i pracowali dla jego potęgi i dobrej sławy.

Kiedy się zwiedza muzea rozsiane stosunkowo licznie po Jugosławji, nabiera się szczerego szacunku do naszych pobratymców. Szczególnie imponująco przedstawia się na tem polu dorobek, który wnieśli do tego najmłodszego Królestwa Europy bracia chorwaci (kroaci), zamieszkujący głównie wybrzeże morskie oraz część północno-zachodnią zjednoczonego państwa serbów, chorwatów i słoweńców (do roku 1929 obecna Jugosławja nazywała się „S.H.S.").

Na czele kulturalnej misji, którą chorwaci nieśli na ziemiach południowej słowiańszczyzny (należących niegdyś do Cesarstwa Rzymskiego), szedł Zagrzeb, obecnie centrum życia politycznego Chorwacji.

Zagreb (Zagrzeb) — posiada po za stałą Wystawą obrazów i rzeźb z oryginałami znakomitego o światowej sławie, współczesnego rzeźbiarza jugosłowiańskiego prof. Mestrovica, dwa specjalne muzea: *Narodni Muzej* (przy Szkole Rzemiosł) — zawierający głównie zbiory etnograficzne i współczesnego przemysłu artystycznego, oraz *Umjetnicki Muzej* (Sztuki Stosowanej) — gdzie zgromadzono pamiątki sztuki kościelnej, starożytne meble szlachty chorwackiej, porcelanę i t. d.

Czyż nie jest imponujące, że to, bądź co bądź, prowincjonalne miasto ma kilka b. wartościowych placówek kulturalnych, przyczem każda z nich mieści się we własnym reprezentacyjnym gmachu w śródmieściu (szczęśliwi ludzie).

Przykrym dysonansem jest pomieszczenie przy wejściu do muzeum „Umjetnickiego" obok napisu w języku rodzimym również napisu „Musée des Arts et Metiers" — co zbytecznie się kojarzy z nazwą znanego Muzeum Paryskiego.

Największe Muzeum w dosłownem tego znaczeniu posiada jednak stolica Bośni, przepiękne *Sarajewo*, nie mówiąc o tem, że również samo miasto jest w obecnych czasach jednem wielkiem muzeum, przedewszystkiem ze względu na swój klasyczny charakter wschodu.

Gmach miejscowego *Bośniackiego Muzeum Krajowego* przedstawia się wprost imponująco; jest to faktycznie kompleks czterech wielkich reprezentacyjnych gmachów jednopiętrowych, ujętych w czworobok z pięknym ogrodem botanicznym wewnątrz.

Gmachy te zawierają: a) *Dział archeologji* z uwzględnieniem b. bogatych wykopalisk z pod Sarajewa z okresu neolitycznego, b) *Dział miejscowej fauny i flory*, w którym przechowuje się dawno zanikłe gatunki, c) *Dział etnografji*, zawierający oprócz różnych wyrobów ludowych liczne wnętrza z figurami ludu bośniackiego w czasie przeróżnych uroczystości rodzinnych, oraz d) *Dział Malarstwa* (stosunkowo najskromniejszy).

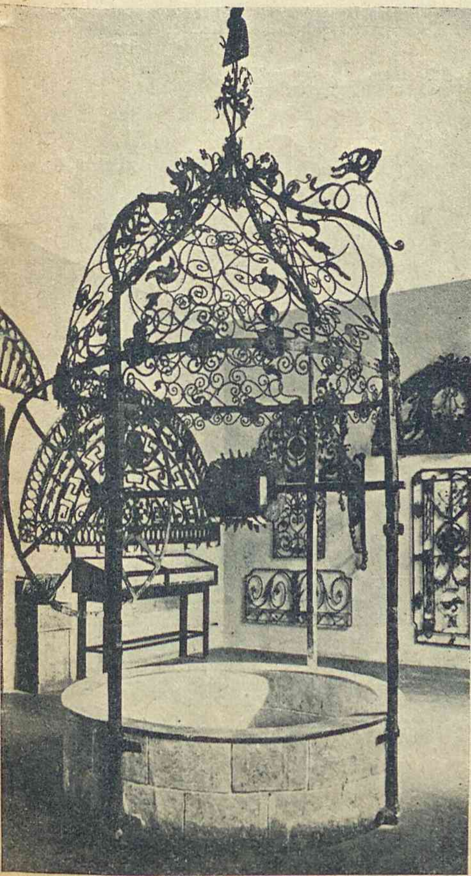
Jak widać z powyższego szkicowego opisu, placówka ta przedstawia się nad wyraz poważnie i niejedna stolica europejska mogłaby *Sarajewu* pozazdrościć tak bogatego i poważnego Muzeum. Liczne wycieczki miejscowe i zamiejscowe świadczą o roli tego Muzeum w kulturze szerokiego ogółu (wejście do Muzeum 5 dynarów, t. j. ok. 60 groszy; dla młodzieży zniżki).

Dwa miasta portowe nad Adrjatykiem posiadają również muzea, przyczem *Split* posiada muzeum etnograficzne oraz przyrodnicze z działem flory i fauny morskiej, *Dubrownik* zaś jedno nieduże muzeum, częściowo o charakterze przyrodniczym, częściowo historycznym. Co się tyczy ogólnego wyglądu i architektury tych miast, to każde z nich można nakryć kloszem jako objekty muzealne, albowiem każda uliczka, portyk domu, a nawet kamień ma wymowę wieków, sięgających epoki rzymskiej. Szereg historyków opisując np. *Dubrownik* nazywa to piękne miasteczko, które niegdyś było stolicą udzielnej Rzeczypospolitej — „słowiańskiemi Atenami".

Pozatem należy wspomnieć o zbiorach starej sztuki chorwackiej *w Kninie*, sztuki słoweńskiej *w Ljubljanie* (stolica Słowenji) oraz ciekawych zbiorach archeologicznych *w Skopljach* (południowa Serbja).

W stolicy współczesnej Jugosławji *Beogradzie* (Białogrodzie), mieście, które rośnie wprost z dnia na dzień (buduje się szereg nowych reprezentacyjnych gmachów), turysta-muzeolog trafia przede-

Muzeum sztuki i rzemiosł w Zagrzebiu. Żelazne ogrodzenie jednej ze studzien w Zagrzebiu z XVIII wieku. Oryginał przeniesiono do Muzeum, kopja po dziśdzień ozdabia daną studnię.



wszystkiem do Muzeum o charakterze *gospodarczym*. Jest nim *„Trgovackie Muzej"*, zorganizowane parę lat temu, przez Państwowy Urząd Handlu Zagranicznego. Placówka ta nazywa się „Muzeum", ale jest faktycznie stałą wystawą „prób i wzorów" rolnictwa i przemysłu jugosłowiańskiego. Na pierwszy plan wybija się dział rolniczy, co jest naturalne w tym kraju, wybitnie agrarnym, lecz mamy tu również grupę eksponatów charakteryzujących krajowe górnictwo węgla i rud żelaznych (kopalnie liczne, ale urządzone dość pierwotnie), grupę przemysłu włókienniczego, metalowego (wyroby przeważnie drobne), skórzanego i t. d., wreszcie przetwórstwo i obróbka drzewa.

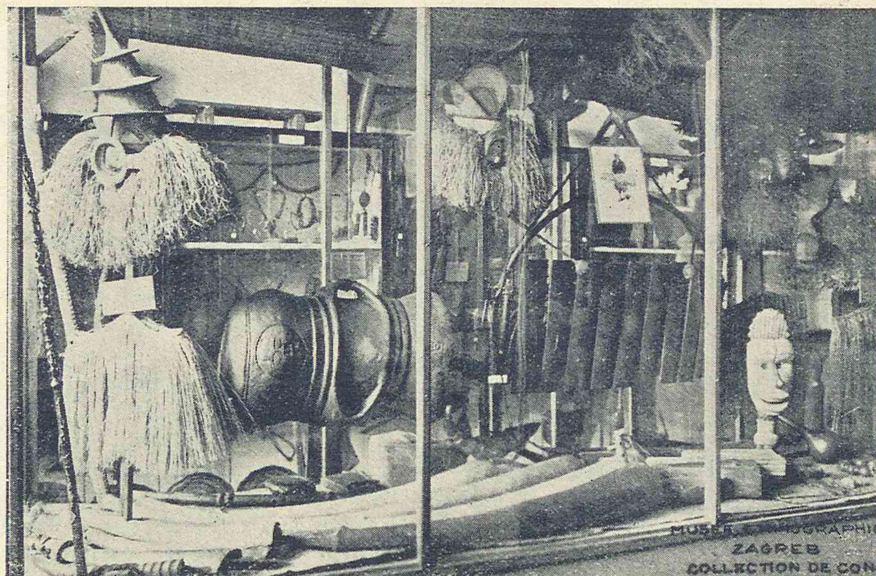
Mądrze i celowo jest zorganizowany Dział Turystyki. Świadczy on, że Jugosławja zaczyna się wysuwać na jedno z pierwszych miejsc w turystyce europejskiej.

Całość zbiorów wywiera na zwiedzającym wrażenie bardzo sympatyczne, gdyż w stosunkowo małem pomieszczeniu (paruset mtr. kwadr.) materjał muzealny ujęto z poczuciem miary i uwzględnieniem strony estetycznej. Gabloty i stoiska są wykonane skromnie, lecz bardzo solidnie, wszystkie napisy drukowane.

Godnym specjalnego podkreślenia jest pozatem fakt, że właśnie ta placówka, a nie przygodne organizacje i wciąż nowi nieznani ludzie, zajmuje się urządzaniem pawilonów i stoisk jugosłowiańskich na różnych wystawach międzynarodowych. Okoliczność ta powoduje, że wszelkie wystąpienia na zewnątrz oddają krajowi rzeczywistą korzyść, budżety zaś takich imprez są stosunkowo b. skromne.

Nawet najkrótszy przegląd muzealnictwa w bratniej nam Jugosławji upoważnia do wyprowadzenia wniosku, że kraj ten— jego rząd — nie szczędzi trudów ani środków finansowych, aby sprostać i pod tym względem swoim obowiązkom.

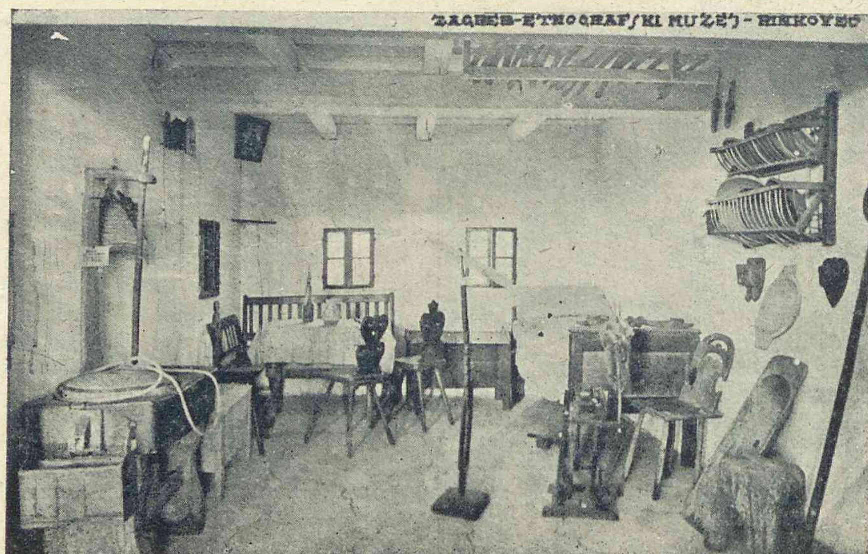
Zwiedzając szereg muzeów jugosłowiańskich, napróżno się jednak szuka zbiorów lub pojedyńczych eksponatów, któreby charakteryzowały rozwój i *kulturę techniczną* tego kraju i mogłyby być drogą wymiany sprowadzone do naszego Muzeum Przemysłu i Techniki w Warszawie. Niestety, pod tym względem nie udało się osiągnąć rezultatów, albowiem Serbja przedwojenna, pomimo niepodległości, była zawsze krajem wyłącznie rolniczym, a Chorwacja i Słowenja, należące do Austro - Węgier, nie miały możności rozwijania rodzimego przemysłu, gdyż to nie leżało w interesie zaborcy (podobnie było i z Małopolską). Mimo to ostatnio udało się nawiązać z Jugosławją pewne porozumienie i będziemy szczęśliwi, gdy ze swej strony zdołamy dać jej wzór nowoczesnego Muzeum Przemysłu i Techniki, które między innemi winno zawsze skrzętnie dokumentować wszelkie przejawy techniki ogólnosłowiańskiej.



Fragment Muzeum Sztuki i Rzemiosł w Zagrzebiu



Dzielnica mahometańska w Sarajewie



Fragment Muzeum Etnograficznego w Zagrzebiu

ŚWIAT TEATRU

„Budowniczy Solness" Ibsena w Teatrze „Kameralnym".

Wytrwale i sumiennie ukazuje nam Adwentowicz co rok, któreś z dawnych arcydzieł Ibsena. Ibsen w historji teatru zajmował tak wysoką pozycję, iż nawet wówczas, gdy technika jego razi nieco, gdy symbolika nabiera cech pewnej naiwności, nawet wówczas siła imperatywu twórczego, który kierował Ibsenem, zwycięża czas. Refleksja i głębsze zastanowienie muszą opanowywać najbardziej współczesnego widza w zetknięciu z wielkim skandynawem.

Nemezis — karząca zły czyn, nemezis nie pozwalająca, by złoty, ciężki plonem kłos wyrósł ze złego ziarna siewnego — to stała prawda, — wyznanie wiary Ibsena!

Zły czyn może dać powodzenie życiowe, doczesne korzyści — ale zwycięstwa ostatecznego nie da. Egoistyczny Solness — powalający swego nauczyciela, barykady kładący na drodze swego ucznia— to człowiek, którego nie stać na radosną odwagę, by stanąć na szczycie swego dzieła i aby własnemi dłońmi je uwieńczyć.

Sława, powodzenie, bogactwo Solnessa — powstały z istnienia jednej małej rysy w kominie. Ta rysa wywołała pożar— dzięki niej Solness mógł budować wieże. Ale wieńczyć tych wież nie miał odwagi, ni siły, bo w tym pożarze, który stał się początkiem karjery budowniczego —zginęło dwoje małych dzieci. Dzieci Solness'ów.

Na takim fundamencie wsparta sława i życie Solnessa — musiały się załamać. Solness runął ze szczytu wieży!

Talent Adwentowicza, szlachetność rysunku odtwarzanych postaci, prowadzenie djalogu sprawiają, że w każdej roli potrafi on nas zainteresować i wzruszyć. Patrząc na wysiłki tego wielkiej miary artysty, na borykanie się tego reżysera i dyrektora teatru Kameralnego — musimy z żalem myśleć o tym „samotnym marginesie", na którym obecna organizacja teatrów pozostawia takie filary polskiej sztuki aktorskiej.

Jako Hilda Wrangel — p. Grywińska miała szczerość, żywość, wnikliwy umiar i zapał, tworząc sylwetkę inteligentnie narysowaną i przeprowadzoną. Pozostali artyści starali się do poziomu „mistrza" dociągać, dbając o całość i harmonję.

L. Ch.

Z teatru w Wilnie: Lili Zielińska i Mrożewski w „Damach i Huzarach"





Scena z „Budowniczego Solnessa", Grywińska i Adwentowicz
Fot. St. Brzozowski

TAJNIKI MEDYCYNY

Pewien lekarz, praktykujący w małem miasteczku, nie chcąc zasklepiać się w jednej specjalności, postanowił wykorzystać sezonową konjunkturę. Jesienią zawieszał przed swemi drzwiami tabliczkę z napisem: Dr. X. Choroby gardła, nosa i uszu. W zimie — zmieniał tekst na: Dr. X. lekarz chorób płucnych. Na wiosnę zaś — napis głosił: Dr. X. Choroby skórne i weneryczne.

*

Angielska choroba. Już od wczesnej młodości rozwijamy w dzieciach manję snobizmu. Zaczyna się zgoła niewinnie— od skrzywienia nóg, a kończy się na parasolu, krawatach z Old England i fanatycznem uwielbianiu Wells'a.

*

Konsultacja — nabieranie na konsula.

*

Dwunastnica: część jelita cienkiego. Posiadają ją jedynie sfery zamożne. Ludzie ubodzy mogą sobie pozwolić zaledwie na ośmiornicę.

*

Wszystko jest względne w ludzkim organizmie. T. zw. stan idealnego zdrowia jest okresem, który nic dobrego nie wróży.

*

Pewien chory przeszedł bardzo ciężką operację. Zabieg się udał, a stan pacjenta z dnia na dzień ulegał stałemu polepszeniu. Niestety, zupełnego wyzdrowienia biedak już nie dożył.

*

Niedawno wynaleziono nowe lekarstwo. Środek o niespotykanej dotychczas sile działania. Obecnie prowadzone są próby nad wynalezieniem odpowiedniej choroby.

*

Pewien lekarz, wielki altruista, zaczął pisywać powieści, nie dlatego jednakże, by posiadał wybitne zdolności literackie, wolał w ten sposób zabijać czas, niż zabijać pacjentów.

*

Inny znów lekarz, zanim został specjalistą laryngologiem, przez parę lat studjował malarstwo. Nie chciał bowiem po dyletancku pendzlować pacjentowi gardła.

*

Mózg: bardzo subtelny organ, przy pomocy którego myślimy, że myślimy.

*

Jedyną pozytywną rzeczą, jaką dotychczas w życiu osiągnąłem, był wynik reakcji Wassermana.

Włodzimierz Łukasik.

KRONIKA LITERACKA

LITERATURA WE FRANCJI

Nowi nieśmiertelni

Paryski sezon literacki w pełni. U szczytu świata intelektualnego Francji stoi, — jak wiadomo, — Akademja Francuska — to też wybory akademickie są zawsze wydarzeniem wielkiej doniosłości, skupiającem zainteresowanie wszystkich.

Tym razem zaledwie 29 nieśmiertelnych zebrało się w dniu 22 listopada celem wyboru dwóch nowych członków Akademji na miejsce zmarłych: malarza Alberta Besnard i historyka Gustawa Lenotre.

O pierwszy fotel ubiegali się: Louis Gillet, J.-L. Vandoyer i Etienne Bricon. O drugi: Georges Duhamel, Fernand Gregh, Piérre Champion, Charles Diehl, Gabriel Faure, Raymond Recouly i Victor Giraud.

Louis Gillet został wybrany w pierwszem głosowaniu o g. 14.30, otrzymawszy głosów 19. Wybór ten był do przewidzenia, bo—szeptano złośliwie — Louis Gillet oprócz wielu zalet osobistych posiada jeszcze ten atut, że jest zięciem możnego sekretarza dożywotniego Akademji. Ale że zalet istotnych p. Louis Gillet nie brak, najlepszym dowodem jego sylwetka, jaką szkicuje w „Les Nouvelles Littéraires" p. Léo Largnier. Gillet jest... „stworzony trochę na wzór tych ludzi, dla których istnieje na ziemi coś innego, niż sprawy pieniężne, którzy zajmują się ostatecznem wydaniem Virgila, lub Rabelais, jeśli nie architekturą średniowieczną...." Odrazu można poznać, widząc go w zadumie, z okiem żywem, ale napół przymkniętem spoza szkieł, „że lubuje się w najbardziej niedostępnych rozmyślaniach, że kocha katedry i angielskich poetów, prymitywy i malarzy impresjonistów, podróże których umie opowiadać, i język francuski". Largnier uważa, że do Louis Gillet, jako krytyka, można zastosować zdanie jednego z wielkich romantyków o Paul de Saint-Victor, że chętnie napisałoby się całą książkę, aby dać mu okazję do napisania jednej strony.

Od najwcześniejszej młodości życie stykało Louis Gillet z ludźmi, którzy zczasem stali się sławni. Jego profesorem retoryki był René Doumic (który został teściem swego dawnego pupila). W Ecole Normale wykładali Joseph Bédier i Romain Rolland, który prowadził kurs historji sztuki. Gillet sam wśród swych pism najwyżej ceni prace o sztuce i pełen jest wdzięczności dla owego „młodego profesora, który mówił tak dobrze w prawie pustej sali"...

*

Georges Duhamel, którego kandydatura pojawiła się zaledwie przed tygodniem, został wybrany dopiero w czwartym głosowaniu. Była nawet chwila, po pierwszem głosowaniu, gdy dreszcz lęku ogarnął zebranych, czy aby Duhamel nie padnie ofiarą tego samego spisku, który obalił kandydaturę p. Paul Claudel. Jednak wynik ostateczny przyniósł Duhamel'owi zwycięstwo. Zwycięstwo zasłużone — bo jest to człowiek wielkich wartości.. Redaktor „Les Nouvelles Littéraires", Maurice Martin du Gard poświęca mu artykuł, zaznaczając na samym wstępie, że Duhamel to jeden z najszlachetniejszych typów Francuza.

Duhamel to, — jego zdaniem,— ucieleśniona równowaga. Jedną jedyną rzecz posuwa do krańcowości, a jest nią zamiłowanie do pracy doskonałej. Jest zwolennikiem indywidualizmu i wolności. Pełen dobrotliwej uwagi, udziela rozumnych rad, uczy cierpliwości i nadziei. Jeśli moralizuje i nie znosi opozycji, ma do tego prawo, bo „w rzeczach stylu, jak również moralności, jest nieskazitelny". Odznacza się powagą żywą naogół i jakby lekką i ogromną wiedzą lingwistyczną. Każda chwila jego życia pulsuje radością i pracą. Uwielbia muzykę (sam gra doskonale na flecie, a jego synowie komponują). Przedewszystkiem Bacha, a potem Beethovena, Debussy'ego, Chausson'a.

Duhamel zaczął jako robotnik-zecer. Obfita lektura, długie podróże piesze po Europie, zawód lekarza, wykonywany, jak misja apostolska — oto życie Duhamel'a do wojny. Podczas wojny był szefem ekipy chirurgicznej. 50 miesięcy frontu, 2,300 operacyj, 4.000 rannych leczonych — oto świadectwo czynu.

Od ukazania się „Życia męczenników" stale pisze. W postaci Salavin'a stworzył nieśmiertelny typ człowieka, który jest zdemoralizowany wyobraźnią bez granic i niemożnością poprawy. Podziwu godna jest umiejętność obudzania tak silnego zainteresowania czytelnika w człowieku pozbawionym wszelkich cech interesujących.

„La Chronique des Pasquier" zajmuje się środowiskiem drobnej burżuazji, walczącej z szarzyzną życia zapomocą rozrywek intelektualnych.

Wszystkie pisma Duhamel'a, to dzieła człowieka par excellence uczciwego i szlachetnego.

L. Buyno.



Tola Mankiewiczówna, stanowi clou ostatniego programu w „Hollywood".

TEATR HOLLYWOOD

Rewja *„Warszawa — New - York".*

Ostatni program stoi na wyższym poziomie, niż poprzedni. Idąc powoli ale systematycznie coraz to wyżej, może w połowie 1936 r. nie będziemy mieli już nic do zarzucenia temu zresztą skądinąd miłemu teatrzykowi, cieszącemu się dużą popularnością.

Zasadniczą zaletą „Wesołej podróży" na statku Piłsudski jest conferencierka prowadzona przez Toma i Bodo. Była przez jakiś czas moda układania numerów w ten sposób, że „zapowiadacz" był niepotrzebny. Szczęśliwie po tej formie przejściowej oba nasze teatry rewjowe powróciły do dawnego systemu. Rozmowy Toma — Parisera (dawniej nazywał się Berliner — teraz jest to niebezpieczne) i Boda (Ras Fajgełes) wzbudzają na widowni wybuchy śmiechu. Obaj panowie jadą do Ameryki „zrobić pieniądze". Tom wiezie artystyczną trupę, która występuje na statku, Bodo zaś dostarcza broni Abisynji.

Podczas długiej podróży powstaje między nimi przyjaźń, o której Bodo śpiewa „Je me sens dans tes bras si semite".

Najlepszym obrazem jest bal kapitański, uświetniony popisami pasażerów statku.

Uroda, wdzięk i piękne suknie Mankiewiczówny starają się uratować słabe teksty. Bardzo miła jest melodja „Barkaroli miłości", osnuta na włoskiej canzonie. Niesamowite akrobacje Filonówny mrożą krew w żyłach i nadają się raczej do cyrku, niż do teatru.

Alicja Halama i Rakowiecki zabawnie i miło odtwarzają lekcję śpiewu z przed 50 laty. Halama dobrze ucharakteryzowana z wdziękiem ćwiczy najtrudniejsze gamy i koloraturki. Na zakończenie balu niezrównany Lopek, wymęczony kołysaniem statku, skarży się publiczności na swój los „dlaczego ja jadę? — dla mojej przyjemności".

Druga część przenosi nas na Brodway, gdzie tempo życia mknie z szybkością 200 klm. na godzinę.

Ślub, porwanie dziecka, interwencja policji, odnalezienie zguby, zdrada małżonka — wszystko przesuwa się jak w kalejdoskopie. Dobre i pomysłowe są kostjumy, skomponowane z gwiazdzistego amerykańskiego sztandaru.

Największe oklaski zbiera Bodo jako biały murzyn. Smętna i zawodząca melodja angielskiego slow-foxa ma w nim doskonałego odtwórcę.

W dalszym ciągu, jakby podtrzymując tradycję „Morskiego Oka", kostjumy i dekoracje opracowane są bardzo starannie. Zresztą pomysły artystyczne Geny Galewskiej są zawsze ładne i kulturalne.

H.

Z teatru Kameralnego

Kierownictwo Teatru Kameralnego pozostawia na afiszu jeszcze tylko kilka dni niezwykle ciekawą sztukę Ibsena „Budowniczy Solness" w której rolę tytułową kreuje KAROL ADWENTOWICZ. „Budowniczy Solness" ustępuje w najbliższych dniach miejsca znakomitej komedji Jaroszyńskiego p. t. „SĄSIADKA".

W nadchodzącą niedzielę 8 grudnia po południu o godzinie 4-ej po cenach wybitnie zniżonych grany będzie „Ponad śnieg" St. Żeromskiego po raz 44-ty. Będzie to ostatnia okazja zobaczenia tego potężnego dzieła naszego znakomitego pisarza.



W Hollywood konferencierkę prowadzą Tom i Bodo.

fot. Brzozowski



Na ulicach Paryża w dniu święta pracownic igły t. zw. „Katarzynki" obrzucały posterunkowych kwiatami i confetti

Niewykorzystane tereny narciarskie Góry Świętokrzyskie

Trudno jest czasami wybrać się do Zakopanego. Na przeszkodzie staje często — odległość.

Wybudowanie drogi żelaznej Warszawa — Radom skróciło drogę do Kielc o przeszło godzinę i — „odkryło" ogromne możliwości rozwoju narciarstwa polskiego w Górach Świętokrzyskich.

Że do tej pory tereny te były tylko tematem tysiąca pięknych legend, a mknęły po ich drogach tylko — kuligi — tak cudownie opisane w „Popiołach" Żeromskiego — złożyło się na to wiele przyczyn.

Brak wygodnej komunikacji i całkowite zaniedbanie przemysłu gospodniego w Górach Świętokrzyskich sprawiły, że wiemy o nich bardzo mało

Warunki w pełnym sezonie zimowym, w sercu przyszłych terenów narciarskich, jak okolice Św. Krzyża, Św. Katarzyny, Mąchocie, Ciekot i t. d., są znakomite.

Kluby sportowe Kielc i okolic muszą stanowczo wyjść poza granicę lokalnej konkurencji, a tężyzną swych zawodników udowodnić wspaniałe zimowe warunki, z jakich korzystają w Górach Świętokrzyskich.

Każdy z nas widział olbrzymie masy ludzi, walczące na dworcach o miejsca w pociągach idących do Zakopanego i każdy zrozumiał, jaką olbrzymią siłę posiada w sobie „śnieżne szaleństwo".

Ci, którzy przybędą raz w Góry Świętokrzyskie, znajdą napewno warunki do wyładowania swych zdrowych namiętności i napewno wrócą nie sami już — lecz w licznem gronie towarzyszów.

Kto raz zobaczy wysmukłe jodły i szczyty zaklęte w cudowną bajkę zimy, ten o Górach Świętokrzyskich nigdy nie zapomni i wróci tam i w zimie i w lecie.

Nie tylko dla nas, ale i dla cudzoziemców — Góry Świętokrzyskie mogą i powinny stać się ośrodkiem wielkiego ruchu turystycznego.

Schronisk jest już dwa: w Mąchocicach „Ameljówka" i u stóp Św. Katarzyny (bez specjalnej nazwy). Na początek musi to wystarczyć.

Miejmy nadzieję, że już niedługo wtoczy się na dworzec w Kielcach pociąg popularny „Narty — dancing — bridge" na otwarcie I sezonu narciarskiego w Górach Świętokrzyskich.

Z wagonu wysypią się liczne rzesze, by potem śmiałym łukiem nart opasać nowe tereny zdobyte dla tego zdrowego z najzdrowszych i szlachetnego z najszlachetniejszych sportów.

Zamieszczone w numerze 48-ym zdjęcia ze ślubu księżniczki Róży Czetwertyńskiej z hr. Zyberk - Platerem, zostały wykonane przez f. J. MALARSKI.

Pani Stanisława Welska z mężem p. Stanley Norton na fermie w Transwaalu na granicy Mozambiku.



PRZEZ PŁONĄCĄ ŚCIANĘ

Pokaz akrobacji na samochodach

W niedzielę, dnia 1 grudnia, Automobilklub Polski zorganizował na terenie lotniska mokotowskiego pokaz akrobacji samochodowej. Impreza ta była wielką manifestacją przeciw zaniedbaniu, w jakiem znajduje się praktycznie motoryzacja i stan dróg u nas. Dzięki pięknej pogodzie na lotnisko przybyły tłumy publiczności, sięgające kilkudziesięciu tysięcy. Tak liczna frekwencja dowodzi, jaką sensację budzi obecnie w Polsce samochód. Sam pokaz rewelacją nie był. To samo już wielokrotnie widzieliśmy na licznych dodatkach filmowych.

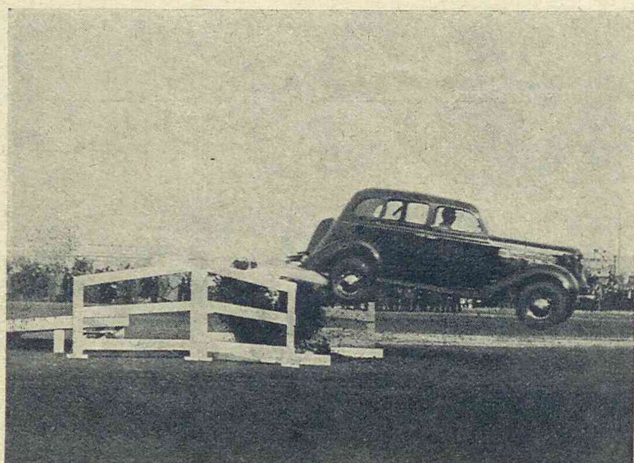
Niestety organizacja imprezy zawiodła całkowicie. Być może, że tak masowy napływ publiczności nie był przewidziany przez organizatorów, ale ustawienie zaledwie dwóch kas było nieopatrznością. To też przed kasami utworzyły się naprzód ogonki, rosnące z każdą chwilą, potem uczynił się tłok, a wkońcu przed okienkami zgromadził się tłum, usiłujący za wszelką cenę zaopatrzyć się w bilety. Liczne zastępy policji przypatrywały się obojętnie bałaganowi i walkom wręcz przed kasami, a z chwilą, kiedy uznano za właściwe przywrócić porządek, było już zapóźno. Tłum zerwał kordon i niepowstrzymaną falą popłynął w stronę miejsc stojących.

Pokaz zaczął się z przeszło półgodzinnem opóźnieniem i trwał długo, dużo zadługo. Panowie Campbell i Miller jeździli naokoło, rozgrzewali motory, zatrzymywali się, czekali na poprawienie i ustawienie odskoczni, a publiczność czekała i marzła. Wreszcie pojechali. Szybkość reklamowa „około stu kilometrów na godzinę" w zetknięciu z rzeczywistością spadła do 40 — 60, wysokość przeszkód i skoków uległa również poważnej redukcji. Po kilkunastu okrążeniach, urozmaiconych zrzadka podskokami i przechyleniami, nastąpił „gwóźdź" programu: Skok przez płonącą ścianę. Przez kilkanaście minut strażacy polewali deski benzyną, a publiczność czekała. Sam skok był nawet efektowny. Samochód z trzaskiem przebił płonące deski, złamał sobie sztangę kierowniczą i pojechał do reparacji, która (trzeba tu pochwalić mechaników z Auto-Service'u) trwała bardzo krótko. Na zakończenie p. Campbell przewrócił z zarzucania swego Chrysler-Plymouth'a i publiczność rozeszła się z lotniska.

Sam pokaz był dobrą reklamą resorów i stalowej karoserji.

Mamy wrażenie, że gdyby sympatyczni amerykanie pojeździli uprzednio po słynnych polskich drogach, uznaliby niechybnie, że pokaz taki nie jest dla polskich kierowców rewelacją. Jest to poprostu trochę wyolbrzymiony skrót tego, co przeżywa polski automobilista na rodzimych wybojach. A skrót, żeby był dobry, powinien być krótki.

Wirtuozi kierownicy na pokazie w Warszawie: J. Campbell i Miller.





Książę Pistoi na froncie pod Makalle odbył inspekcję sprawności transportu chorych i rannych.

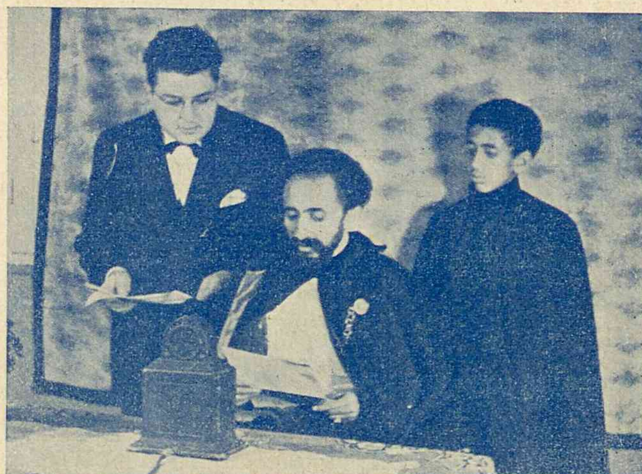
Toni von Schmidt i Magda Lenkey w Warszawie

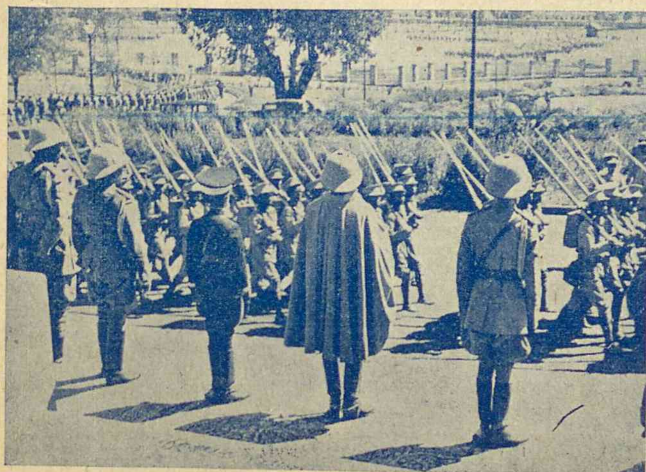
Do przemiłych podziemi Café Dancingu PARADIS przybyła Toni von SCHMIDT.

Prasa wiedeńska podkreśla, że na konkursie muzycznym jury składało się z najwybitniejszych profesorów świata muzycznego. — pierwszą nagrodę na 500 kandydatów uzyskała Toni von SCHMIDT z tytułem *die preisgekrönte Jazz - sängerin.*

Wraz z Nią przybyła z Budapesztu świetna tancerka Magda von LENKEY. Jak już pisaliśmy Magda von LENKEY jest znana w świecie sportowym, posiada bowiem kilka rekordów w pływaniu. Na premjerze w Warszawie występy Magdy von LENKEY były przerywane burzą oklasków. Obie te artystki występują w Café PARADIS, Nowy Świat 3.

Cesarz Haile Selassie przemawia przez radjo ze swego pałacu w Addis Abebie





Cesarz Abisynji dokonał rewji swych najlepiej uzbrojonych oddziałów.

ŚWIAT FILMU



Scena z filmu Peter Ibbetson z udziałem C. Coopera i Anu Hardin.

(fot. Paramount)

„SZANGHAJ“. — „Światowid“.

Problem czystości rasy jest od dłuższego czasu w modzie, zawędrował nawet na ekran. Tym razem podano nam w przydługim filmie zagadnienie: czy biała kobieta może pokochać pół-azjatę. Tak nas przynajmniej informuje program. Niewiadomo, naco to komu potrzebne. Ale niechtam. Okazuje się, że może kochać i to podobno gorąco. Gorzej jest z tym półazjatą. Dymitr Kozłow, były oficer carski (czy ich aby nie zadużo?), syn byłego generała też carskiego i księżniczki mandżurskiej (niema to jak moda i aktualność!), pokochał piękną amerykankę i ma niesłychane skrupuły, czy może się z nią ożenić. Walka duchowa trwa dwie godziny. W międzyczasie bohater robi błyskawiczną karjerę: z kulisa awansuje na potentata finansowego, zdobywa miłość ukochanej i hamletyzuje. Dwa razy decyduje się na małżeństwo i dwa razy rezygnuje. Za każdym razem widz ma nadzieję, że to już nareszcie koniec i za każdym razem spotyka go zawód. Bohater rzuca stanowisko, traci cały majątek, ale to nic — za chwilę znowu wszystko będzie jaknajlepiej.

Szkoda takich aktorów na taki film. Charles Boyer w roli Kozłowa był doskonały. Miał przekonywującą maskę obojętności azjaty, pod którą wyczuwało się głęboką tragedję. Dzielnie sekundowała mu Loretta Young jako powabna Barbara Howard. Znakomitym dyplomatą chińskim był Warner Oland. Ale to nie wystarcza. Nudny i irytujący film wlókł się w niezliczonych dłużyznach, aby dobić nas wreszcie pustym frazesem: „Nadejdą czasy, że wolni ludzie będą mogli ominąć przesądy i kochać się bez dramatów“. Żałujemy, że nie nadeszły. Chętnie uniknęlibyśmy tego dramatu.

„SZEŚĆ LAT MIŁOŚCI“ — „Rialto“.

Jeśli kto wybierze się na ten film, zachęcony jego tytułem, spodziewając się ujrzeć jakąś nowoczesną Solwejgę, która potrafi czekać na ukochanego.... aż sześć lat, wyjdzie rozczarowany: nie widzimy bowiem wcale na ekranie owej wiernej i cierpliwej miłości, dowiadujemy się o niej tylko z rozmowy bohaterki z przyjaciółką. Dalej idzie wszystko — wbrew tytułowi — w tempie iście amerykańskiem. Sprytna przyjaciółka umiejętnie przygotowała grunt i oto szef wielkiego domu handlowego żeni się ze swą sekretarką, której — jako kobiety — poprostu dotąd nie zauważał, a żeni się tylko dlatego, by nie utracić niezastąpionej w biurze pracownicy, doskonałej organizatorki. Ona jednak nie zgadza się na traktowanie małżeństwa z punktu widzenia handlowego i usiłuje zbudzić w człowieku interesu „instynkty mężczyzny“, co jej się oczywiście po wielu perypetjach udaje. Scenarjusz jest dość błahy, ale reżyserja zręczna, a humor naogół dyskretny — z wyjątkiem sceny wybijania po-pijanemu szyb we własnych sklepach. Znakomite są natomiast sceny między bohaterką a nieznośną córeczką jej męża z pierwszego małżeństwa. Największą atrakcję filmu stanowi urocza Claudette Colbert w głównej roli, odegranej inteligentnie, dowcipnie i z wielkim wdziękiem. Patrząc na nią, wypoczywamy po różnych rozwierzganych gwiazdach amerykańskich. Bardzo dobra jest 9-cioletnia Edith Fellows, która odtwarza niegrzeczną dziewczynkę. Role męskie obsadzone nieciekawie.

„OSTATNI POSTERUNEK“.— „Apollo“.

Film awanturniczy z posmakiem egzotycznym, z pożarem dżungli i walką garstki białych z przeważającemi liczebnie watahami czarnych będzie podobał się głównie młodzieży. Starszą, bardziej sceptycznie nastrojoną część widzów będą razić niektóre dość naiwne skróty, i przypomną się jej liczne reminiscencje filmów dawniej widzianych: „Bengali“, „Marokko“.

W ogniu pożogi wojennej serca dwóch oficerów brytyjskich, rzuconych na ostatnie posterunki Azji i Afryki, przetapiają się na spiż, na czystą stal szlachetnych uczuć. Wspólny cel, honor wspólnego sztandaru każe im zapomnieć i pogrzebać dawne urazy osobiste. Dwaj ludzie, związani jednem uczuciem do tej samej kobiety, wybaczają sobie nawzajem w obliczu śmierci, aby spełnić żołnierskie zadanie: ostrzec maszerującą kolumnę przed zasadzką przemożnych sił wroga.

Akcja, przenosząca się z głębi Kurdystanu przez Kair do Sudanu, pozwala reżyserowi urozmaicić obraz przez wyzyskanie fotogeniczności i sugestywności krajobrazu. Widzimy znakomite techniczne zdjęcia przeprawy plemienia Kurdów wraz z całym dobytkiem przez wzburzona górską rzekę i pełne niebezpieczeństw przedzieranie się przez niebotyczne góry. Wypoczywamy w wieczornym mroku w parku Kairu, aby za chwilę przenieść się do opuszczonego fortu, zagubionego w bezkresnych piaskach pustyni.

Nad program dwuaktowa komedja z Busterem Keatonem razi dość niewyszukanym humorem mimo szeregu dobrych pomysłów.

J.

Redaktor L. Chrzanowski Wydawca: „ŚWIAT“ Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa